

Trzydniowa spowiedź kochanka królowej

Nigdzie chęć publicystyczne i polityczne nie jest tak wyraźnie widoczne, jak w książkach dotyczących jezuitów, a szczególnie życia świętego Ignacego de Loyola. Weźmy choćby tak poważną pracę jak „*Pierwsi Jezuiti*” napisaną przez ojca Johna W. O’Malleya. Najciekawsze fragmenty życia młodego Inigo de Loyola są całkowicie pominięte. Są tam oczywiście obecne wątki dotyczące jego konfliktów z prawem i przygód miłosnych w młodości, ale rzecz najważniejsza jest moim zdaniem nieobecna. Trudno mi zgadywać, czy ojciec O’Malley zrobił to celowo, czy może uznał, że te akurat fragmenty nie warte są uwagi. Nie umieścił ich w swojej pracy i to jest moim zdaniem znamienne. Jean Lacouture napisał z kolei dzieło pod tytułem „*Jezuici*”. O ile mogłem się zorientować, w Polsce wydano tylko tom pierwszy tej pracy zatytułowany „*Zdobywcy*”. Jest to najbardziej chyba egzaltowana, pisana nieznośnym wprost stylem opowieść o początkach Towarzystwa Jezusowego. Tu jednak, u Francuza, który za wszelką cenę chce nam udowodnić, że święty Ignacy to humanista, tylko taki trochę inny, znajdziemy mnóstwo cennych informacji o życiu Loyoli.

Jest wreszcie książka ojca Malachi Martin pod tym samym, co dzieło poprzednika, tytułem „*Jezuici*”. Ojciec Malachi Martin bardzo się starał, by przedstawić dzieje sukcesu i upadku Towarzystwa w formie najbardziej dla czytelnika przystępnej. Myślę, że mu się to nawet udało, ale tłumacz tej książki na polski miał zdaje się inne niż autor plany. Tak więc przez tę arcyciekawą pracę musimy się wręcz przebijać jak ojcowie jezuiti przez dżunglę nad wodospadami Iguazu. Malachi Martin bardzo mocno stara się przekonać nas, że wielkie Boże Dzieło, które zapoczątkował Inigo de Loyola, zostało zniszczone w XX wieku w sposób tak perfidny i widowiskowy, że trudno przejść koło tego obojętnie. Trudno także nie zachwycić się książką ojca Martina. Jest tylko jeden kłopot – jeśli oczywiście nie liczyć fatalnego tłumaczenia – kiedy opisuje on początki Towarzystwa i dzieje Loyoli ani

razu nie wymienia słowa „Żyd”. Taki zaś Jean Lacouture poświęcił relacjom pomiędzy Żydami a jezuitami poważną część swojej pracy.

Mamy wreszcie fascynującą pracę Karola Górskiego zatytułowaną „*Od religijności do mistyki. Zarys dziejów życia wewnętrznego w Polsce*”. Jest tam cały rozdział poświęcony jezuickiej duchowości, który możemy śmiało nazwać lamentem. Autor bowiem przez cały czas narzeka, że ogromna spuścizna polskich jezuitów nie dość, że w poważnej części jest zniszczona, to jeszcze do tego nie może doczekać się solidnych opracowań i komentarzy. Karol Górski pisał swoje dziełko dawno temu, pewnie więc wiele się od tego czasu zmieniło. Miejmy nadzieję, że na lepsze.

Wróćmy jednak do kwestii, które, jak sądzę, są najważniejsze dla zrozumienia, kim był święty Ignacy i czym było Towarzystwo Jezusowe.

Twórca Towarzystwa Jezusowego urodził się u podnóża Pirenejów, w kraju Basków w zamożnym, choć decyzją króla Kastylii mocno nadwątlonym zamku, noszącym miano Loyola. Zamek ten stał w pobliżu miejscowości Azpeitia i przez stulecia całe był gwarantem stabilności i bezpieczeństwa rodziny oraz jej sukcesu. Loyolowie byli bogaci. Może nie „bardzo bogaci”, ale bogaci byli na pewno. Służyli królom Kastylii, ale potrafili także wystąpić przeciwko nim i właśnie z tego powodu ich gniazdo rodowe zostało na rozkaz władcy nieco nadwątlone, by odjąć im nieco przyrodzonej hardości.

Ojciec O'Malley pisze, że młody Inigo, który urodził się w roku 1491, otrzymał wychowanie rycerskie i znikome wychowanie szkolne właściwe dla swojej klasy. Informacje te zdaje się potwierdzać ojciec Malachi Martin, wspominając, z jakim trudem przychodziło Ignacemu, który porzucił swoje baskijskie imię na rzecz łacińskiego imienia Ignatius, redagowanie konstytucji nowego zgromadzenia. Owa niepewność ręki, trud, mozół wręcz, z jakim Loyola przystępuje do prac redakcyjnych i do korespondencji, jest podkreślana wielokrotnie, prawie tak często jak komunistyczni historycy podkreślali nieprzygotowanie do walki husytów ścierających się z wojskiem krzyżowym. Jeśli komuś to porównanie wyda się niestosowne, bardzo przepraszam, ale nasunęło mi się ono dość spontanicznie, ponieważ w trakcie lektury Jeana Lacouture natrafiłem na informację, że młody Inigo, trzynaste dziecko swoich rodziców, wysłany został po ich śmierci na dwór podskarbiego, czy, jak kto woli, ministra finansów Izabeli Kastylijskiej, pana Juana Velansqueza de Cuellar. Tam zaś zdobył umiejętność kaligraficznego pisania. Jak już wielokrotnie się przekonywaliśmy, była to w owych czasach sztuka szalenie ważna, jedna z najważniejszych wręcz. Na dwór seniora de Cuellar, trzymającego pieczę nad królewskimi finansami, Inigo został zaproszony niejako w ramach realizacji zobowiązań rodziny panującej. Ojciec małego, Beltram de Loyola, i jego starsi synowie walczyli i ginęli w służbie korony, wykonując różne ważne misje tak w Europie, jak w Ameryce. Królowa postanowiła więc, że najmłodszy z rodu, w dodatku sierota, zasłużył sobie na lepszy los niż życie gdzieś wśród nagich skał, na dalekim pograniczu.

Na dworze ministra skarbu Juana Velasęza de Cuellar młodemu Inigo wygolono tonsurę i próbowano przygotować go do systematycznej pracy. Nauka kaligrafii bowiem nie była byle czym. Odczytywanie cudzej a poufnej korespondencji odbywało się w owych czasach w ten sposób, że należało najpierw złamać pieczęć listu, potem go odczytać, a następnie dać do przepisania zaufanemu i perfekcyjnie znającemu swoją sztukę kaligrafowi. Był wielki popyt na tę umiejętność i istniały specjalne szkoły na dworach możnych, gdzie uczono kopiować listy i pięknie pisać. Inigo bez wątpienia skończył taki kurs, trudno było go więc podejrzewać – co czyni ojciec Malachi Martin – o niezręczność w czasie tworzenia tysięcy listów i wydawanie tysięcy zaleceń na piśmie, kiedy był już Ignacym, generałem nowego zakonu – milicji chrystusowej.

Młodość panicza de Loyola została dokładnie, prosto i wymownie opisana przez jego następcę – ojca Jakuba Laynez i osobistego sekretarza – Jana Polanco, dwóch najbliższych współpracowników Ignacego. Piszą oni wprost o tym, że na dworze ministra skarbu Loyola zajmował się uwodzeniem kobiet, ćwiczeniami fechtunku i grą na pieniądze w kości i karty. Szczególnie zaś pochłaniały jego uwagę kobiety oraz fechtunek. Zamierzał bowiem zdobyć sławę, a do tego umiejętność władania bronią i uwodzenia dam były niezbędne.

W owych jakże banalnych czynnościach zdradzał Loyola takie zapamiętanie, że w roku 1515 w czasie pobytu w rodzinnych stronach stanął przed sądem. Wdał się w taką awanturę – szczegółów jej niestety nie znamy – że w aktach sądowych określone są jego czyny słowami: przeogromne zbrodnie, popełnione nocą, z premedytacją, podstępnie i zdradziecko. Nikt nie wie, co miał na sumieniu dwudziestoczteroletni wówczas Inigo. Jean Lacouture posuwa się do przypuszczenia, że mogło chodzić nawet o morderstwo, ale zaraz się z tego wycofuje. Najpewniej rzecz dotyczyła uprowadzenia jakiejś panny i bójki z jej rodziną. Loyola, który mógł liczyć na wiele protekcji, był na tyle przytomny, że po tych tajemniczych wypadkach uciekł sprzed oczu świeckiej sprawiedliwości i poddał swoje postępowanie pod ocenę sądu kościelnego w Pampelunie. Władze królewskie chciały koniecznie wyrzucić na nim zemstę. Nie wiemy niestety, kto konkretnie się jej domagał, ale w tym przypadku, podobnie jak w kilku innych momentach życia Loyoli, zaznaczył się rozdzwięk co do jego osoby pomiędzy kompetencjami i zamiarami władzy świeckiej i duchownej. Sąd kościelny w Pampelunie po prostu uwolnił Inigo z aresztu, a ten obiecał, że już więcej nie poważy się na tak podłe i okropne czyny.

Ojciec Malachi Martin dość zdecydowanie interpretuje zapiszek w „*Autobiografii*” Ignacego dotyczący jego skrywanej miłości do „*pewnej damy, która nie była zwyczajną szlachcianką ani hrabianką, ani księżną, ale należała do nieporównanie wyższego stanu*”. Kim była owa kobieta? Otóż w ocenie ojca Martina była to nowa królowa Kastylii i Leonu, nowa władczyni Hiszpanii Germaine de Foix. Kronikarze współcześni nazywają ją co prawda osobą

„otyłą i do trunków skłoną”, ale wystarczy spojrzeć na portret królowej, by stwierdzić, że przesadzają. Na pewno nie była otyła i skłonna do trunków w czasach, kiedy znała Inigo służącego w jej świątyni. Królowa Germaine wyszła za mąż za króla Ferdynanda, kiedy miała piętnaście lat. On zaś był od niej starszy o lat trzydzieści siedem. Różnica wieku na pewno robiła swoje i królowa poszukiwała rozrywek w towarzystwie mężczyzn zbliżonych do niej wiekiem. Ponieważ trudno tak po prostu oskarżać hiszpańską królową o lekkie prowadzenie się, Jean Lacouture kieruje naszą uwagę ku innej kobiecie, mogącej być obiektem adoracji Loyoli, ku Katarzynie, siostrze późniejszego cesarza Karola V, którą jej rodzona matka, Joanna Szalona, więziła w Tordesillas. Loyola był tam wraz ze swoim protektorem Juanem Velaquezem de Cuellar i królem Ferdynandem. Lacouture twierdzi, że tam, widząc z daleka piękną Catalinę, zakochał się w niej i z owej miłości zwierzył się później w „Autobiografii”.

Karol Górski w pracy „Od religijności do mistyki. Zarys dziejów życia wewnętrznego w Polsce” podkreśla pewien szczególny aspekt mistycyzmu jezuickiego narzuconego zgromadzeniu przez Pana Boga za pośrednictwem Loyoli, a mistycyzmu przefiltrowanego wprost przez życiowe doświadczenia tego ostatniego. Otóż był Inigo człowiekiem niezwykle praktycznym, zaś mistyka, którą uprawiał, miała swoje źródło w aktywności i pracy. Mówiąc wprost – Ignacy nie kłamał i nie przejmował się sprawami nieistotnymi. Jeśli wspomnieliśmy w „Autobiografii” o damie, dla której zamierzał zdobyć sławę, a dama owa była kimś postawionym o niebo wyżej od niego, musiała to być sama królowa Germaine, nikt inny. Gdyby chodziło o jakieś przelotne zauroczenie, ktoś taki jak święty Ignacy, człowiek, który rozprawił się serio i bardzo poważnie ze wszystkimi swoimi grzechami, nie przywiązywałby do tego wagi. Pamiętajmy, że mamy przed sobą młodzieńca ambitnego, gwałtownego, potrafiącego posługiwać się bronią, pochodzącego z rodziny, która nie miała wahań, jeśli w grę wchodziła korzyść własna ceniona w danym momencie wyżej niż lojalność królowi. Nie ujmujemy więc Ignacemu niczego z jego życiorysu i nie starajmy się prostować ścieżek, które z pewnością proste nie były.

„Otyła i skłonna do trunków”? Kim mogła być ta dziewczyna, córka hrabiego de Foix, pochodząca z drugiej strony Pirenejów Francuzka? Jej dwór i jej otoczenie Jean Lacouture opisuje słowem „pyszny”, my zaś pamiętamy obyczaje księżniczek na – o wiele chłodniejszym niż hiszpański – dworze w Sztokholmie i nie pozostaje nam nic innego, jak tylko dziwić się, że temat tak wdzięczny i intensywny, jak obyczajowość młodych dziewcząt na dworach, nie został jeszcze gruntownie zbadany.

Relacje pomiędzy królową Germaine a protektorem Inigo, senior Vesaquezem de Cuellar popsuley się po śmierci króla Ferdynanda. Zapewne wówczas musiały się także popsuć osobiste związki Loyoli z królową. Następcą tronu Hiszpanii, którym dość nieoczekiwanie został Karol V Habsburg, odebrał godność podskarbiego Juanowi Velasquezowi. Odebrał mu również lenna,

z których ten czerpał dochody i uczynił go człowiekiem uzależnionym od wdowy po Ferdynandzie, od młodej królowej Germaine. Wywołało to gniew ministra, który nie zamierzał podporządkować się decyzji nowego władcy i wszczął rebelię. Ta zaś zakończyła się jego klęską i śmiercią. Jego ludzie zaś, dwór, protegowani, paziowie, kaligrafowie i słudzy, poszli w rozsypkę. Nikt się nad nimi nie litował i wszyscy mieli ich za nic.

Inigo jednak miał szczęście, został, przez protekcję oczywiście, dworzaniem wicekróla Nawarry, krainy niedawno wyrwanej spod francuskiej zależności. Jego nowy protektor nazywał się Antonio Manrique de Lara i rezydował w mieście Pampeluna. W służbie tego pana spotkała młodego Loyolę przygoda, która zaważyła na całym jego życiu. Oto w maju 1521 roku z rozkazu króla Franciszka I ze stoków Pirenejów zesłała armia licząca ponad 13 tysięcy ludzi, złożona z Francuzów i Nawarczyków, którym sprzykrzyła się dominacja hiszpańska. Armia ta obległa Pampelunę ze szczerym zamiarem wybicia jej obrońców do ostatniego i przyłączenia Nawarry z powrotem do Francji.

Załoga twierdzy liczyła około tysiąca obrońców. Nie mieli oni żadnych szans i większość z nich nie chciała walczyć. Wszyscy przemyślali jedynie o tym, by poddać się na jak najkorzystniejszych warunkach. Jeden tylko człowiek biegał po komnatach i murach, namawiając wszystkich do chwytania za broń i stawienia czoła Francuzom. Był to oczywiście Loyola. Nie od biedy będzie przypomnieć, jak Inigo wyglądał w tym czasie. Był jeszcze młody, miał ledwie 155 centymetrów wzrostu i blond loki. Wszyscy autorzy opisują jego twarz słowem „natchniona”, choć zachował się tylko jeden, w dodatku pośmiertny jego portret. Nie wiadomo więc dokładnie, skąd u nich to przekonanie, że Loyola miał twarz natchnioną, a nie zamyśloną, skąd przekonanie o głęboko osadzonych, płonących oczach, które opisuje Jean Lacouture.

Niewysoki, zawzięty, jasnowłosy Bask namawia dowódcę Pampeluny i oficerów zamkniętych w twierdzy, że nie powinni się poddawać za żadne skarby, powinni walczyć do śmierci albo do czasu, kiedy król Karol przyśle im posiłki. O dziwo dowódca obrony miasta Francis de Baumont posłuchał rad Loyoli i rozkazał, by załoga zajęła stanowiska na murach. Francuzi rozpoczęli już ostrzał artyleryjski miasta, było bardzo niebezpiecznie i padli pierwsi zabici. Loyola postanowił się wypowiedzieć przed walką. Nie było w pobliżu księdza, uklęknął więc przed jednym z towarzyszy broni. Kiedy wstał, armatnia kula wystrzelona zza murów trafiła go tak nieszczęśliwie, że zgruchotała zupełnie prawą gołąb i urwała łydkę lewej. Inigo zemdlął z bólu. Kiedy się ocknął, okazało się, że nikt poza nim nie pragnął walki. Twierdzę poddano, kiedy tylko oficerowie zorientowali się, że Loyola leży bez przytomności i nie będzie ich już namawiał do nadstawiania karku za króla Karola. Załoga po kapitulacji bezpiecznie opuściła twierdzę, ale Inigo w niej pozostał. Francuzi na tyle na ile mogli zaopiekowali się nim i próbowali wyleczyć jego nogi. Nie na wiele się to zdało, medycyna nie była wówczas na zbyt wysokim poziomie, tak więc z rozkazu Andrzeja de Foix,

w obawie, by nie zmarł im na rękach, Francuzi odesłali Inigo do jego rodzinnej miejscowości. Do Azpeitia, w pobliżu której wznosił się rodzinny zamek. Dystans dzielący Pampelunę i Azpeitia to ponad 50 kilometrów. Loyolę ze strzaskanymi nogami niesiono po górskich ścieżynach w ciasnej lektyce. Co chwilę mdlał z bólu, nie mógł spać ani jeść, tragarze zaś liczyli się z tym, że może umrzeć i oszczędzić im dalszego trudu ciągnięcia go taki kawał drogi przez góry. Droga do Azpeitia trwała aż 10 dni. Na miejscu okazało się, że wojskowi felczerzy króla Francji nie mają zbyt wielkiego pojęcia o składaniu połamanych hiszpańskich piszczeli. Miejscowy chirurg musiał więc zoperować pacjenta raz jeszcze. Zaczęło się od czegoś, co w „*Autobiografii*” Loyola określa słowem *carniceria*, Jean Lacouture zaś tłumaczy jako „jatką”. Myślę jednak, że słowo „masakra” będzie tu o wiele właściwsze i celniejsze.

Kiedy już połamano Inigo nogę i złożono ją na nowo, okazało się, że chirurdzy z Azpeitia reprezentują dokładnie ten sam rodzaj zawodowego mistrzostwa, co próbujący go wyleczyć wcześniej Francuzi. Noga była zrosnięta, ale kości zachodziły na siebie, przez co jedna z nich wystawała wyraźnie, tworząc gruzłowatą narośl. Inigo de Loyola, w całej swojej pysze żołnierza pragnącego chwały i zaszczytów na dworach królów, rozkazał, by mu tę okropną narośl spiłowano. Nie trzeba dodawać, że wszystkie te operacje odbywały się bez zastosowania środków znieczulających. Pacjent nie pił też wina ani nie żuł żadnych przywożonych już wtedy z Ameryki liści, które czyniły człowieka odpornym na ból. Leżał po prostu, modlił się, zaciskał pięści i czekał, aż chirurdzy skończą swoją pracę. W trakcie rekonwalescencji o mało nie umarł, dostał wysokiej gorączki i przyjął ostatecznie namaszczenie. Pan Bóg miał jednak względem niego inne plany i Inigo wyzdrowiał. Kiedy zaś dochodził do siebie, przyniesiono mu do narożnego pokoju na drugim piętrze zamku, gdzie leżał całymi dniami, książki. Nie były to romanse rycerskie, jak sobie tego życzył, ale księgi o świętych. A między nimi stara, dobra „*Złota legenda*” Jakuba de Voragine oraz „*Żywot Jezusa*” Ludolfa z Saksonii.

Co do tego jednego momentu w życiu Inigo wszyscy biografowie są zgodni: w czasach rekonwalescencji przeszedł on przemianę duchową, która zaowocowała tak, że trudno nie dopatrzeć się w niej woli i mocy Boga. Mały Bask, Inigo de Loyola, zawzięty kurdupel z ambicjami dalece przekraczającymi jego możliwości nie tylko towarzyskie czy finansowe, ale także fizyczne, został podporą Kościoła. A w „*Autobiografii*” oraz pismach ojców Layneza i Polanco znajduje się kilka opisów objawień i snów, które miał. Ukazała mu się Matka Boża, która przekonała go co do słuszności obranej drogi, a on zgodził się wiele wycierpieć dla Chwały Bożej i tego szczególnego sukcesu, który miał być jego udziałem. Po okresie rekonwalescencji Inigo wyruszył do Jerozolimy, obdarty, kulawy, niedawny kochanek królowej Germaine, rycerz, który chciał bronić sam jeden miasta Pampeluna przed 13 tysiącami Francuzów.

Do klasztoru Benedyktynów w Montserrat jechał na mulicy, a po drodze spotkał pewnego Maura, który niedawno przyjął chrzest, by uchronić się przed wygnaniem. Człowiek ten, nie znając Loyoli ani jego planów, zaczął zadawać mu w drodze przedziwne pytania dotyczące czystości Maryi. Bardzo to rozzłościło Inigo, który właśnie zamierzał rozstać się ze swoim dotychczasowym życiem i marzeniami oraz wstąpić na służbę wprost do Matki Jezusa, która ukazywała mu się w snach. Maur ledwo uszedł z życiem, a Loyola nie mógł zdecydować się, czy go ścigać. Znał nazwę miasta, do którego tamten podążył i chciał tam jechać, jak opisuje w „*Autobiografii*”, by wbić dociekliwemu Maurowi nóż w trzewia. Postanowił jednak, że o tym, co się stanie, zdecyduje Pan Bóg, narzędziem zaś jego woli uczynił Inigo mulicę, która niosła go na grzbiecie. Jeśli na rozstajach dróg mulica skreśli do miasteczka, Maur zginie, jeśli pójdzie prosto, będzie żył. Na szczęście dla przechrzty i dla samego Loyoli zwierzę podreptało przed siebie i Inigo nie splamił rąk krwią.

W klasztorze Montserrat Loyola przez trzy dni spisywał wszystkie grzechy swojego życia. Był to warunek, jaki na początku stulecia XVI wprowadził opat klasztoru, później kardynał Francisco Jiménez de Cisneros. Nowicjusze musieli spisywać swoje grzechy i spowiadać się z nich przed opatem klasztoru, następnie zaś spędzić noc na czuwaniu i modlitwie przed sławną w całej Hiszpanii figurą Czarnej Madonny.

Porzućmy teraz chronologię życia Ignacego. Powróćmy do trzech różnych narracji, trzech sposobów opowiadania o świętym w trzech różnych biografjach. Wszyscy biografowie mniej lub bardziej dokładnie odnoszą się do najważniejszych momentów w jego drodze ku świętości. Ojciec O'Malley rzeczowo, bez specjalnych egzaltacji relacjonuje pobyt w Montserrat, potem pielgrzymkę do miasteczka Manres, gdzie żył i mieszkał ponad rok, zanim wyruszył do Włoch, a stamtąd do Ziemi Świętej. Jean Lacouture pisze o Loyoli tak, jakby chciał nas przekonać, że Inigo to taki Erazm, tylko krocący trochę inną drogą. Wszystko w życiu Ignacego, od samego początku jest mistyczne, niezwykle, w najgorszym razie połączone ukrytymi więzami z najważniejszymi postaciami i prądami umysłowymi epoki. Ponieważ „*Baśń jak niedźwiedź*” dość jasno stawia kwestię autentyczności owych prądów i kwestionuje zgodność ich rzeczywistego celu z celem deklarowanym, trudno przyznać rację, czy nawet okazać jakiś cień sympatii dla sposobu opisywania życia Loyoli, który zastosował Jean Lacouture. To jest po prostu nie do zniesienia, ale przyznać trzeba, że znajdują się tu informacje, których nie ma gdzie indziej. Lacouture opisuje drogę Ignacego jako pasmo zbiegów okoliczności i niezwykle przypadków. Loyola opisany przez Lacouture'a to liść targany porywistym wiatrem, który boskimi zrządzeniami zawsze spada tam, gdzie powinien – na przykład do klasztoru w Montserrat założonego przez najważniejszego księdza w całej Hiszpanii, Francisco Jiménez de Cisneros'a, autora olbrzymiego projektu wydawniczego, który zakładał przetłumaczenie Pisma Świętego z języków historycznych. Kardynał Cisneros zaangażował do tego projektu uczonych greckich, żydowskich i hiszpań-

skich. Zgodę na wykonanie tego dzieła wydał papież Leon X. Okazało się jednak, że prace nad nową Biblią zwaną Poliglotą Kompluteńską przeciągają się. Okazało się ponadto, że nad nowym przekładem Pisma z języków historycznych pracuje również Erazm i choć nie ma ani stosownego przygotowania, ani zespołu ludzi potrzebnych do wykonania tej pracy, to jednak jego dzieło ukazuje się jako pierwsze. Fakt ten unieważnia lata pracy i całe zaangażowanie kardynała de Cisneros. Poliglota Kompluteńska ukazuje się już po śmierci swojego twórcy, a i to jedynie w nakładzie 600 egzemplarzy. Te zaś transportowane na statku zostają w drodze do Rzymu zatopione przez sztorm czy też piratów, dokładnie nie wiadomo; podobnie jak kilka wieków wcześniej zatopiony został skarb Aarona z Lincoln, wieziony na kontynent celem wspomoczenia wysiłków wojennych króla Anglii.

Przypomnijmy, że dzieło Erazma pod tytułem „*Pochwała głupoty*” zostało wydane od razu w ilości 100 tysięcy egzemplarzy. I nawet jeśli kilka setek egzemplarzy utonęło w czasie transportu, nie zmieniło to wiele, jeśli chodzi o zasięg oddziaływania tej książki. Ta dziwna dysproporcja i ewidentne sabotowanie całego projektu Cisnerosa w Rzymie nie doczekało się do dziś chyba jakiegось gruntowniejszego omówienia.

Po opuszczeniu Montserrat, po oczyszczeniu się tam z grzechów całego życia, po rocznym postoju pod Barceloną Ignacy de Loyola wyruszył przez Wenecję do Palestyny. W drodze cierpiał nędzę i niewygody, o czym piszą wszyscy autorzy relacjonujący dzieje Towarzystwa Jezusowego. Nie zawsze jednak. W Wenecji spotkał pewnego bogatego Hiszpana, który nie dość, że go nakarmił, napoił, to jeszcze poznał go z samym dożą. Wprost z jego komnat obdarty Inigo udał się na statek, na którym, z krótkimi postojami, dopłynął do Ziemi Świętej. Miał zamiar tam pozostać, ale nie było na to zgody władz tureckich, a ojcowie franciszkanie, którzy gościli pielgrzymów, nie mieli zamiaru brać za nich odpowiedzialności przed miejscowym paszą. Zdarzało się bowiem, że samowolnie pozostający w Palestynie pielgrzymi byli sprzedawani w niewolę i franciszkanie musieli ich wykupywać, płacąc z własnej kiesy. Loyola został stanowczo poproszony o opuszczenie gościnnych progów klasztoru i udanie się na statek.

W trzeciej biograficznej narracji, w opowieści ojca Malachi Martina, Loyola jest przede wszystkim człowiekiem czynu i organizatorem. Planuje zbudowanie czegoś, co działałoby precyzyjnie i skutecznie jak wielkie zegary na ratuszowych wieżach. Czegoś, czego jeszcze w całym chrześcijańskim świecie nie było. To trudne, bo nie ma na to precedensu i wszystko trzeba wymyślać od samego początku. Loyola zaczyna od ćwiczeń duchowych, a kończy na Konstytucjach zakonu jezuitów. Malachi Martin nie rozwodzi się nad ilością objawień, jakie miał w swoim życiu Ignacy, nie opisuje ze szczegółami, jak wyglądali Jezus i Maryja, którzy ukazywali mu się z zaskakującą regularnością. Ksiądz Martin w odróżnieniu od świeckiego, francuskiego historyka Lacouture, nie ma w ogóle zwyczaju podkreślania na każdym kroku szczególnej opieki bożej roztoczonej nad Loyolą, podobnie zresztą czyni ojciec O'Malley.

Obaj duchowni skupiają się raczej na konkretach, a Martin dodatkowo jeszcze podkreśla pomysłowość, energię i czyn, które stale emanowały z drobnej postaci Ignacego.

Po powrocie z Palestyny Loyola wstąpił najpierw do szkoły w Barcelonie, gdzie uczył się łaciny, a potem na uniwersytet w mieście Alkala. Było to miejsce opisywane przez ojca O'Malley i przez Jeana Lacouture jako centrum hiszpańskiego erazmianizmu. Loyola przeczytał tam ponoć „*Podręcznik żołnierza chrystusowego*”. Jaki miało to na niego wpływ, nie wiemy, ale Lacouture sugeruje, że wielki. O'Malley po prostu o tym wspomina, a Malachi Martin, jak się zdaje, nie widzi potrzeby wymieniania w swojej książce o jezuitach nawet imienia Erazma. W Alkali Loyola zebrze, żeby mieć co jeść i prowadzi działalność apostolską na ulicach. Ponoć udziela także już lekcji ćwiczeń duchowych. Powstawały one etapami, z notatek, które tworzył Inigo przebywając w miastach i klasztorach Hiszpanii. Nikt jednak nie wyjaśnia, jak to się stało, że biedak odziany w nędzne lniane gieżło, z wiecznie spuchniętą, krótszą nogą ma przybory do pisania, papier, czas i siłę, by się z tym mozolić, choć przecież pisanie przychodziło mu z trudem. Nie wiemy też, jak to się stało, że oskarżony w Alkali o niedoprecyzowany rodzaj herezji, uwolniony co prawda przez Inkwizycję, ale niemożliwie biedny i nędznie ubrany mężczyzna, który odrabia właśnie szkolne zaległości z łaciny, staje nagle ni stąd ni zowąd przed obliczem prymasa Hiszpanii Alonsa de Fonesca, a ten, uśmiechając się dobrotliwie, wysyła go na studia do Salamanki.

Lacoutour podkreśla, kiedy tylko może, że przesłuchujący Loyolę w związku z jego działalnością apostolską na ulicach zakonnicy i księża usiłowali dociec, czy nie jest czasem wychrzczonym Żydem albo wybadać, czy nie stoi przed nimi luteranin, który podaje się za kaznodzieję katolickiego. Podkreśla także, z jakim niepokojem dopytywano się w Salamance o fascynację Loyoli Erazmem.

Skupmy się teraz na dwóch informacjach dotyczących późniejszego życia Loyoli. Jedna z nich dotyczy jego pobytu w Paryżu, gdzie studiował, a druga – jego spotkania z papieżem i początku Towarzystwa Jezusowego.

Osoby zainteresowane szczegółami paryskiego życia Loyoli odsyłam do książki Jeana Lacouture. Jest ono tam opisane w sposób, który może podobać się wielu sympatykom humanizmu, albowiem autor podkreśla, jak wielki wpływ na Inigo i jego towarzyszy, albowiem w Paryżu miał on już towarzyszy, wywarły nowe prądy umysłowe. Nas w całym paryskim życiu interesować będzie jeden tylko szczegół. Oto Loyola wybiera się za granicę po pieniądze. Dokładnie tak. Jedzie kwestować, bo potrzebna mu gotówka. Píše o tym Malachi Martin i dokładnie wskazuje miejsca, w które udał się nasz bohater w poszukiwaniu aktywów. Były to miasta: Bruksela, Antwerpia i Londyn. Przypomnijmy, że Inigo nie jest jeszcze księdzem, jest nawróconym ze światowego życia kaznodzieją, studentem, myślicielem, ale nie jest księdzem. Nie wiemy więc dokładnie, na co potrzebne mu są pieniądze, ale ojciec Malachi Martin twierdzi, że już wtedy miał on w głowie dokładny plan

organizacji nowego zgromadzenia zakonnego. Nie wiemy, czy Loyola zdobył pieniądze w czasie swojej wyprawy na północ i nie mamy pojęcia, jak też mogła ona wyglądać. Czy pojechał tam na osiołku, czy poszedł piechotą, kuśtykając? A kiedy już tam był, do jakich drzwi kołatał i kto mu otwierał? Co mówił i jakie listy polecające pokazywał? Bo choć nie mamy wątpliwości co do doskonałości jego dzieła, dręczą nas one przecież za każdym razem, kiedy czytamy o tym, jak mały Bask, oberwany i brudny, wkracza na łśniące posadzki pałaców i opowiada wielkim tego świata o swoich zamierzeniach.

Loyola opuszcza Paryż w roku 1535, a w dwa lata później przyjmuje wraz ze swoimi towarzyszami święcenia kapłańskie. To ważne wydarzenie ma miejsce w Wenecji. Po święceniach nowi księża wyruszają do miast administrowanych przez władze republiki, by głosić tam kazania na ulicach.

W trzy lata później zaś stoją już w prywatnych apartamentach papieża Pawła III, tego samego, któremu Mikołaj Kopernik dedykował swoje dzieło. Jest rok 1540, a Loyola i jego towarzysze zostają przyjęci tak po prostu przez Ojca Świętego. Nie ma on właściwie wyjścia, jak tylko zgodzić się na to, by Ignacy, który od czasu zapisania się na Sorbonę używa takiego właśnie łacińskiego imienia, poprowadził swoją misję według swoich własnych planów. A plany te są takie, że wprost zapiera dech. Tak więc mamy obraz następujący: czarno ubrani, surowi księża, którzy przybywają właściwie znikąd, stoją przed papieżem i on im udziela błogosławieństwa. Malachi Martin opisuje tę wizytę językiem nowoczesnym, a samych jezuitów nazywa nowoczesną bronią Rzymu.

Myślę, że kluczową kwestią pozwalającą zrozumieć sens misji Ignacego jest odnalezienie momentu, kiedy zdecydował się on na służbę papieżowi. Bo przecież nie zawsze był na nią zdecydowany. Służba Ojcu Świętemu, kimkolwiek on by nie był, była podstawą założenia Towarzystwa Jezusowego i podstawą jego sukcesu. Służba i bezwzględne posłuszeństwo. W czasach, kiedy nie istniała bezpośrednia i szybka komunikacja, posłuszeństwo było gwarancją trwałości organizacji. Jezuita prowadzić mieli swoją misję na całym świecie, a jej istota i duża konkurencyjność wobec oferty protestanckiej polegała na tym, że po pierwsze chcieli trafić do wszystkich ludzi na całej ziemi, po drugie byli o wiele bardziej otwarci i dynamiczni, niż wszyscy protestanccy reformatorzy razem wzięci. To dawało Ignacemu i jego towarzyszom największą przewagę, mogło jednak przyczynić się do zguby zakonu. Loyola bowiem nie miał zamiaru stosować żadnych ograniczeń przy przyjmowaniu ludzi do swojego zgromadzenia, żadnych poza moralnymi i kompetencyjnymi. Potrzebni mu byli ludzie skuteczni, silni i dynamiczni – tacy, którzy nie boją się zginąć. W Hiszpanii zaś wymagano, by do Towarzystwa nie przyjmować nawróconych Żydów.

Stosunek Loyoli do Żydów opisał Jean Lacouture. Twierdzi on, że Ignacy wielką wagę przywiązywał do tego, by nie odrzucać konwertytów. W czasie kiedy w Rzymie rządził Paweł III owa kwestia nie miała pierwszorzędного znaczenia i fakt, że ojcowie Jakub Laynez i Jan Polanco, najbliżsi współpra-

cownicy Loyoli, pochodzili z rodzin pochodzenia żydowskiego, nie grał roli. Wszystko zmieniło się po wstąpieniu na Tron Piotrowy Pawła IV. Loyola, jak pisze Lacouture, otwarcie twierdził, że żydowskie pochodzenia chrześcijan stawia ich bliżej samego Zbawiciela, albowiem on również był Żydem. Jeśli spojrzymy na to od strony praktycznej, zauważymy, że w Anglii i Francji nie ma już Żydów, przynajmniej oficjalnie. Hiszpania zaś jest ostatnim krajem, który boryka się z problemem obecności w strukturach Kościoła ludzi będących niegdyś Żydami, *conversos*, świeżo nawróconych chrześcijan. Na czym ów problem polegał? To jest niesłychanie trudne do zrozumienia, jeśli spojrzymy na to z dzisiejszej perspektywy. Sprawa wygląda bowiem tak, że Hiszpania była przez całe stulecia tym krajem, gdzie żywiły ludzkie mieszały się w sposób niespotykany. Erazm nie chciał ponoć przekraczać Pirenejów, bo kraj położony za nimi był zbyt zażydzony. Hiszpańska szlachta miała w swoich żyłach domieszkę krwi żydowskiej, to samo dotyczyło hiszpańskiego duchowieństwa. Fakt ów powodował gwałtowne dążenia, które nazwać możemy mistycznymi lub obłąkanymi, jak kto woli, zmierzające ku oczyszczeniu kraju z Żydów. Tym właśnie był edykt z roku 1492 wydany przez parę królewską Ferdynanda i Izabelę, edykt, za który oboje królestwo zostali nazwani przez papieża Aleksandra VI monarchami katolickimi. Kim był ów papież? Aleksander VI pochodził z rodu Borgia, był Hiszpanem i prawdopodobnie najbardziej zepsutym i złym papieżem, jaki kiedykolwiek zasiadał w Rzymie. Wiedza o nim każe nam się zastanowić nad istotą decyzji pary królewskiej i nad reakcją papieża na ów edykt. Ponoć w Hiszpanii żyło ponad 50 tysięcy konwertytów żydowskich. Zmienili oni wyznanie nie po to, by siedzieć w miejscu i klepać biedę, ale by w strukturach, które się przed nimi otworzyły po dokonaniu konwersji, rozpocząć błyskotliwe kariery. Tak więc polityka wewnętrzna Hiszpanii zastosowana wobec rodzin, które wybrały chrześcijaństwo, naznaczona jest schizofrenią i chciwością. Podobnie jak polityka współczesnego Loyoli Pawła IV, który był kolejnym z szeregu papieży chcącym wyrwać Rzym spod dominacji króla Hiszpanii. Drogę do tego celu upatrywał w prześladowaniach Żydów, którzy nie dość szczerze i mocno wierzyli w boskość Jezusa. Żydów, którzy kojarzyli mu się z Hiszpanią właśnie, gdzie też ich prześladowano, ale – w opinii ojca świętego Pawła IV – nie dość skutecznie.

Ponoć kiedy doniesiono Loyoli o tym, kto został następcą panującego krótko papieża Marcelina, twarz jego skamieniała. Dwaj najbliżsi współpracownicy generała Towarzystwa Jezusowego pochodzili z *conversos*, jemu co prawda nie zarzucano jeszcze żydowskiego pochodzenia, choć pojawiają się takie sugestie i pisma długo po jego śmierci, ale dla Towarzystwa zmiana na tronie Piotrowym mogła oznaczać poważne zagrożenie. Relacje pomiędzy Pawłem IV a Loyolą nie należały do najlepszych, ale narzędzie, które stworzył ten ostatni, jego skuteczność i zasięg były gwarancją, że nikt, do czasu oczywiście, nie zechce stawiać mu przeszkód.

Trudno powiedzieć, czy Loyola właściwie rozpoznawał istotę obaw dręczących papieża w związku z Żydami. On sam takich obaw nie miał. Reguła bowiem, którą stworzył, była surowa, twarda, bez pomyłek oddzielała ziarno od plew i miała przy tym jedną ważną zaletę – była otwarta. Na tym bardzo zależało ojcu generałowi. Tak jak do nowego wojska króla Stefana wstępować mogli wszyscy, bez różnicy kondycji i stanu, byle potrafili dobrze jeździć konno i dobrze walczyć, tak do Towarzystwa Jezusowego Loyola chciał przyjmować wszystkich, którzy gotowi byli służyć Jezusowi i Maryi na krańcach ziemi i tam dla nich umierać.

W pracy ojca Malachi Martin znajduje się opis relacji pomiędzy Ignacym, starszym już i bardziej doświadczonym niż ten, którego tu poznaliśmy, a jego młodymi współpracownikami. Ignacy idzie po korytarzach papieskich rezydencji i kuśtyka, bo choć ma jeden obcas wyższy, to nie niweluje on całkiem kalectwa. Za nim z powagą idzie dwóch braci. I nagle jeden z nich zaczyna naśladować Ignacego, zaczyna utykać na prawą nogę. Loyola, który miał wielką intuicję, nie widzi tego, ale coś każe mu odwrócić głowę. Patrzy na idącego za nim młodego zakonnik i się uśmiecha. Ten najsurowszy na świecie mnich, ta chodząca groza i wróg heretyków odwraca się i śmieje do człowieka naśladowającego jego kalectwo.